

## LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

### W Czerewkowskim sowchozie c.d.

Nagle zaczęliśmy spotykać estońskich żołnierzy. Nie było sposobu porozumienia się z nimi, nie wiedzieliśmy skąd i dlaczego się tutaj znaleźli. Byli przystojni, bardzo wysocy, potężni i wszyscy blondyni. Okazało się, że przeniesiono ich tutaj z *łagrów* z okolic Kotłasa, gdyż tam trzeba było umieścić Polaków, napływających z lasów i stepów do Armii Andersa. Estończycy fascynowali i Rosjan i Polaków. Przeważali oficerowie, podoficerowie i kadeci. Rzadko zdarzali się szeregowcy. Z głodu i zimna padali jak przysłowiowe muchy. Walających się trupów było tyle, że przestały robić na kimkolwiek wrażenie. Nie byli zbyt twardo pilnowani, nie mieli dokąd i w czym uciekać. Chodzili po domach i wymieniali swoje ciepłe koce na odrobinę jedzenia. Za gruby wełniany koc dostawali pajdkę chleba lub dwa-trzy kartofle. Z uśmiechem oddawali pledy brali co kto dawał, kłaniali się i grzecznie dziękowali. Do nas też przychodzili, ale my nie mieliśmy co im dać, sami byliśmy spuchnięci z głodu. Kiedyś przyszło dwóch, gdy był tato. Usiedli koło taty i „rozmawiali”. Nie wiem jak tato to robił, ale Estończycy przychodzili do niego ciągle. Widziałam jak gestykulując porozumiewali się i nawet od czasu do czasu śmiali lub bezradnie rozkładali ręce i smutnie kiwali głowami. Porozumienie było pełne.

Często przychodził do taty pewien oficer, bardzo przystojny, wysoki, w średnim wieku. Siedział długo i trochę po niemiecku, trochę na migi świetnie się porozumiewali z tatą. Lubił mnie. Mówił, że ma córeczkę w moim wieku.

Pewnego razu przyniósł tacie swój puszysty estoński pled. Tato bronił się przed przyjęciem go, lecz Estończyk nalegał, powiedział, że niedługo umrze i chce ofiarować go na żywność dla dzieci. Zostawił też kartkę z nazwiskiem, imieniem i stopniem oficerskim. Na imię chyba miał Georg. Raptem przestał przychodzić. Mama i tato mówili, że pewno zabroniono mu swobodnie się poruszać. Po jakimś czasie przyszedł inny oficer. Tato pokazał mu kartkę z nazwiskiem. Estończyk odpowiedział, że nie zna go osobiście, gdyż jest ich tu tysięcy, lecz dowie się o niego i powie tacie. Dodał jeszcze, że dużo ich choruje i umiera na dyzenterię.

W parę dni potem tato z Emilem wracali po pracy ścieżką. Zapadał zmrok i pruszył rzadki śnieg. Emilowi wydało się, że ktoś leży parę kroków od ścieżki. Podeszedł bliżej i zawołał tatę. Tato nachylił się i powiedział:

– Zamarzł biedak.

Uważniej przyjrzał się twarzy zmarłego mężczyzny i krzyknął:

– To nasz oficer, Boże, na co mu przyszło! – Na tatę patrzyły szeroko otwarte niebieskie oczy Estończyka. Tych oczu tato nie mógł zamknąć i za-

pomnieć.

Weszli na chwilę do domu. Tato wziął siekierę i rydel i poszli z powrotem pogrzebać przyjaciela. Po tym zdarzeniu, tato znów się załamał. Nie odzywał się do nas, jego spojrzenie było jakieś obce. Znów zachowywał się dziwnie. Wracał z pracy, o nic nas nie pytał, ani nie witał się. Zrzucił śmierdzące gnojem parciane buty i szedł na *połati*. Siedziałyśmy ciche i wylężnione, nawet bałyśmy się płakać. Tato mościł się na deskach i zaczynał „rozmowę” z estońskim oficerem. Coś wykrzykiwał, tłumaczył i złościł się, że Estończyk go nie rozumie. Zawołał Marysię i kazał jej iść do sieni i przynieść miech i siatkę na głowę, bo musi udowodnić coś temu estońskiemu „tumanowi”, który zna się na wielu sprawach, lecz pojęcia nie ma o pszczołach. Marysia skierowała się do sieni, ale mama z palcem na ustach przytrzymała ją za rękę. Nic nie rozumiałam. Po chwili mama szepnęła:

– Zostań, tato bredzi, zaraz o tym zapomni.

To był cios. Mój tato, nasz kochany, mądry tato zwariował!? Boże, co my teraz zrobimy! Jak to będzie? Tato, coś układał, przerzucał i ciągle mówił, stękał aż wreszcie poskarżył się, że rój uciekł i chyba zasnął.

Mama zabroniła pytać tatę w dzień o to, co się z nim dzieje wieczorami. Nie mogłam pogodzić się z tym, że mój tato nie wie co robi i co mówi. Rzadko i jakby z zażenowaniem tato pytał czy nie zauważyłyśmy, że z nim coś jest nie tak, bo nigdy nie pamięta kiedy kładzie się spać. Spuszczaliśmy głowy lub patrzyłyśmy na tatę jak wylężnione ptaki. Marysia płakała. Tato domyślał się, że

jest z nim źle i prosił mamę, by przerywała te „seanse”. Mama obiecała i kiedyś stanęła na drabince i leciutko dotknęła jego nóg, ale tato kopnął ją tak silnie, że uderzyła głową o piec i gdyby nie Emil pewno by upadła na podłogę. Emil chwycił mamę, była lekka jak piórko i posadził przed piecem. Mama zakryła twarz rękami i tylko po drganiu pleców widziałam, że płacze. To było nie do wytrzymania. Wybiegłam do gospodarzy i usiadłam przy Ałłoczce. Nie wróciłam na noc. Położyłam się na chodniku i zasnęłam.

Rano tato z troską w głosie spytał mamę dlaczego ma posiniaczoną twarz. Mama nic nie odpowiedziała i tato domyślił się, pochylił się i chciał mamę przygarnąć i przeprosić, ale mama szarpnęła się i teraz ona odepchnęła tatę aż się zatoczył. Popatrzył na nas, wdział uszanke i kufajkę i wyszedł z domu. Mama znów płakała. Wieczorem było to samo. Tato był na osadzie, coś robił, mówił i szykował się do złapania roju. Nagle wychylił głowę z pryczy i przeraźliwym szeptem rozkazał:

– Zamknij drzwi i nie wpuszczaj go do domu, on idzie po mnie. Mama nie panując nad sobą krzyknęła:

– Przestań! On umarł, jego nie ma. Lepiej jeżdż i zmów pacierz za niego, ty niedowiarku, nie strasz dzieci.

Tato jakby się ocknął, usiadł i teraz on patrzył na nas rozszerzonymi i też niebieskimi oczami.

– Co ci jest – spytał mamy – uspokój się, czemu krzyczysz? – i położył się na wznak. Zapanowała cisza.

Przy „śniadaniu powiedział do mamy:

– Wiesz śniła mi się „Czarna Pani”,

powiedziała, że... – ale mama nie słuchała, narzuciła jakiś łach na siebie i wyszła trzaskając drzwiami. Potem mama bardzo żałowała, że nie dowiedziała się tego, co „Czarna Pani” powiedziała tacie po raz pierwszy i ostatni we śnie. Nigdy przedtem się nie śniła. Tato ją widział, przychodziła do niego.

W domu źle się działo, panowały brud, głód i niezgoda. Obsiadły nas wszy; nie było mydła. Dawno zgubiły się grzebienie. Przy dziennym świetle mama przeglądała nam włosy, wyjmowała długie, obłe wszy i tłukła je, albo wrzucała na ogień aż skwierczały. Z wszami zżyłam się i przestałam się ich brzydzić. Maminą główkę też przeglądałyśmy i cieszyłyśmy się, że tyle wszów potrafimy znaleźć. Gospodyni, pomimo ciągłej złości na nas, pożyczowała grzebień i robiła tzw. ług, w którym kazała myć głowy. Sama wcierała w nasze włosy własną naftę.

Emil powiedział, że widział całe worki kartofli na sowchozowym polu. Ucieszyliśmy się bardzo i nawet mamie nie przyszło do głowy, że znalezione kartofle w szczerym polu w środku zimy to po prostu nawóz. Wieczorem obie z Marysią przyniosły pół worka kartofli. Nie można było wziąć ich w dzień, bo to *kazionne dobro* i kraść nie wolno. Moja radość była ogromna. Podrzucałam kartofle w górę, a one z dźwięcznym stukotem padały na podłogę. Dzwoniły jak rozsypane orzechy. Kilka kartofli wrzuciłam do pieca i wtedy zobaczyłam, że wycieka z nich czarna lepka woda, lecz wytrwale czekałam aż się upieką. Dotykałam patykiem i wołałam:

– Mamo już się upiekły, są miękkie – ale mama patrzyła i ze smutkiem za-

przechała. Nie były upieczone, one po prostu odtajały. Nie mogłam ich przełknąć, były gąbczaste i śmierdziały. Mama obierała je, tarła na tarce i piekła tzw. babki, ale były po prostu ohydne, bez łyżki mąki, bez odrobiny tłuszczu...

W rozpaczy zawołała:

– Co za straszny ustrój, co za przekłeta gospodarka, żeby tyle dobra przepadło w polu. Żaden gospodarz nie pozwoliłby sobie na to. Ludzie padają z głodu, a żywność ginie na mrozie.

Pojeła słowa kotłaskiego *izwocznika*, że tutaj jedynie można bezsilnie kląć.

Na Trzech Króli mama wracała z Czerewkowa i przy drodze znalazła zdechłego cygańskiego konia. Poszli z Emilem i urąbali co „lepsz”, na kość zamarznęte mięso. W izbie przekonała się, że ten koń był tak samo chudy jak my. Miał żyły, kości i włókna.

Włożyła kawałki na blaszkę i wstawiła do pieca. Łudziła się, że po całkowitym odtajaniu okaże się, że jest jakieś mięso. Najgorsze, że nie było soli, może i te kartofle byłyby do zjedzenia, gdyby je posolić. Ugotowała mama „tatomy” barszcz na zdechłym koniu i bydlęcych burakach, nie tylko bez przypraw, lecz nawet bez odrobiny soli. Wyjęła blaszkę a my rzuciliśmy się na to „piecyste” i jedliśmy, choć wykrzywiało nam gęby, to czarne, twarde paskudztwo.

Ledwo odeszliśmy od pieca (światła ciągle nie mieliśmy), gdy nas „ruszyło”. Myśleliśmy, że wraz z koniem i barszczem wyjdą nasze kiszki. Nie zwracając uwagi na śnieg i mróz, boso i bez żadnego okrycia starałam się dobiec do „domku z serduszkciem” ale nie zdążyłam. Trzaskałam na wszystkie

strony. Wszystko co zjedliśmy, gubiliśmy po piętach, sieniach, schodach i dróżce wysypanej żółtym piaseczkiem. Rwało z nas na obie strony. Wraz z wymiotami wychodziły żołądek i wnętrzności. Przykucałam gdzie popadło, a potem nie mogłam się podnieść. Kręciło mi się w głowie i ciemniało w oczach, podnosiłam się po ścianie i padałam we własne ekstrementy.

Mama, jak zwykle, zjadła najmniej, toteż najłagodniej chorowała. Za to Emil, Marysia i ja wiliśmy się z bólu i tracili przytomność. Taty nie było, pracował na trzecią zmianę i dzięki temu się uratował. Myślę, że cudem wyszliśmy żywi i może dlatego, że wszystko, co zjedliśmy, natychmiast zwróciliśmy, nie zależało się w naszych żołądkach. Reakcja była błyskawiczna i w tym był ratunek. Z ogromnego wyczerpania nie wiedziałam czy już umarłam, czy jeszcze żyję.

W naszą gospodynię wstąpił już nie tylko *leszak*, ale sam lucyfer. Nawet ja, choć półprzytomna, drżałam ze strachu przed nią. Wpadła do izby, złapała się za nos i wyskoczyła do sieni, potem znów wleciała i jak furia latała i podtykała mamie pod brodę brudne szmaty i złorzeczyła. Pół żywa mama nie reagowała na jej wyzwiska i przekleństwa. My też nie byliśmy w stanie poruszyć nawet wargami. Przy wygasłym piecu z głową opartą o przypiecek bez jakiegokolwiek znaku życia, siedziała nasza mama. Była obojętna na wszystko. *Chiazajka* zorientowała się, że jesteśmy umierający, bo wyszła i mruczając coś pod nosem sprzątała nasze nieczystości w sieniach, na schodach i na wysypanej żółtym piaseczkiem

dróżce... Czyściła też „domek z serduszkiem” i obok... Potem przyniosła *kipiatku*, rozpałała w piecu i wzięła się za porządki u nas. Powiedziała, że napali „banie” i dodała, że już dłużej nie będziemy tutaj mieszkać. Mama nie odezwała się.

Chorowaliśmy parę dni. Gospodyni zaglądała do nas, przynosiła suszone czarne jagody, zaparzała je i kazała pić. Tato zabrał resztę koniny i wyrzucił na śmietnik. Pracował o głodzie. Mama nie powiedziała tacie, że już nie możemy mieszkać tutaj. Emil wstał, poszedł do *obszczeżytia* i załatwił dla nas pokój.

Po łaźni poczuliśmy się trochę lepiej, włożyliśmy uprane przez gospodynię rzeczy, zwiniliśmy nasze łachy i poszliśmy do *obszczeżytia*. Szkoda mi było Ałłoczki, bardzo polubiłam tę śliczną, różową z dołeczkami dziewczynkę. Uwielbiałam patrzeć jak pręży się i uderza tłustą nóżką w wanienkę z wodą. Wszyscy o nią dbali, była ich oczkiem w głowie, jak niegdyś ja... Żał mi było obiecanych walonek, których znów nie dostałam... Jak zwykle, kiedy tylko gdzieś wyprowadzaliśmy się, była śnieżycy i siarczasty mróz. Babka stała na czystych schodach, patrzyła nam w ślad i fartuchem wycierała oczy...

Babka nie tylko nas wyzywała. Ileż to razy słyszałam jakimi słowami obdarzała Rudika, bo on też nie zawsze zdążył doślizgać się do nocnika na swoich kaczych nóżkach. Rudik nie zostawał babce dłużny, nazywał ją nie gorzej niż ona jego. A kiedy mu mówiła *podieri triebia leszyj*, on odpowiadał, że właśnie ona sama jest *leszym*. Babka po trzykroć żegnała się, a potem ostro pytała:

– Kto ci to powiedział, mów, pręd-ko mów – a Rudik patrzył na nią i bez mrugnienia odpowiadał:

– Mama – wtedy na Zoiną głowę leciały takie przekleństwa, iż dobrze, żeby się nie spełniły.

W obszczeżytiu było duszno, brudno i dużo rodzin tak polskich jak i rosyjskich. Karaluchy, pluskwy i wszy łąziły gdzie chciały i po kim chciały. Za to nareszcie było ciepło. Nie mieliśmy ani stołu, ani łóżka, ani *polati*. Bez żadnego mebla, izba wydawała się obszerna i jasna. Była też elektryczność i niczym nie osłonięta nędzna żaróweczka oświetlała nasze nowe lokum.

Trochę ożywiliśmy się i jakby trochę odżyli. Była też prawdziwa płyta z fajerkami i można było na niej gotować lub piec placki, tylko... nie było z czego.

Marysia i ja bawiłyśmy się z rosyjskimi dziećmi i tutaj dokonała się zdrada. Czytała swoją ukochaną książeczkę Waśce, a on wyjął pół chleba i... Marysia oddała mu książeczkę o kwiatach-dziewczynkach. Waśka powycinał obrazki i porozwieszał na ścianach. Wróciliśmy do siebie, niczym z pogrzebu. Chleb już był zjedzony, a książeczki nie było. Ścisnęły nam się serca. Nie mówiłyśmy o tym, lecz obie wiedziałyśmy, że myślimy nieustannie o książeczce. Nagle Marysia, ni z tego ni z owego głośno powiedziała:

– Oddam Waśce pół chleba i zabiorę książeczkę.

Ha, ha, oddać pół chleba! Skąd go wziąć? Głód to bezwzględny wróg.

Waśka pozwalał nam przychodzić, stawać przed ścianami i czytać cudowne wiersze. Marysia tłumaczyła mu na rosyjski, a on uśmiechał się i mówił

*prielest*.

Tato bardzo się zdenerwował na mamę o to, że gospodyni wyrzuciła nas ze „spokojnego” miejsca. Ostro przypomniał mamie: „Twój ojciec miał rację, kiedy powiedział, że „bydle bydłem””.

Po raz pierwszy mama nie rozplakała się, lecz o dziwo, uśmiechnęła i opowiedziała nam, skąd się wzięło to dziaduniowe powiedzenie.

Dziadunio nie posłał dziewczynek do „zepsutego” miasta, lecz sprowadził nauczycielkę do domu. Panna była skromna, wykształcona i surowa. Pod jej okiem dziewczynki nabierały ogłady i uczyły się. Dom był obszerny, więc jeden pokój przeznaczyl dziadunio na izbę lekcyjną. Pozwolił również innym dzieciom przychodzić na lekcje, tym, których rodziców nie było stać na płacenie. Wśród uczniów znalazł się urwis Romciu. Pewnego razu uradowany wpadł do klasy i wielkimi literami kredą napisał na tablicy: „Ja widział jak nasza pani srała”. Trzeba było trafu, że dziadunio przyszedł popatrzeć, jak uczą się jego podopieczni i przeczytał to co było na tablicy. Kazał chłopcu tablicę wytrzeć i wyrzucił go z nauki, a do skonfundowanej, całej w pąsach panny powiedział:

– *Ja uczył staralsia*, a bydle bydłem.

W *obszczeżytiu* przeszły tacie nocne zwidy, uspokoił się i zagościła miła atmosfera, jak w domu. Gdy trochę zeszła mróz i na dworze zapachniało wiosną, zaczęliśmy myśleć o Kotłasiu. Tato, mama i Emil pracowali po dwie zmiany, żeby zbierać trochę chleba i pieniędzy na drogę. Za każde następne osiem godzin, otrzymywało się dodatkowo pół chleba i zapłatę. Już mieli-

śmy iść, gdy tato położył się, bo bardzo źle się poczuł. Musieliśmy zostać. Tym razem trażyły go nie psychiczne lecz fizyczne dolegliwości. Męczyła go gorączka i czkawka, trwająca po kilka godzin, której w żaden sposób nie można było przerwać. Wyczerpywała tatę do ostatka. Mijała, lecz tylko na krótkie chwile. Potem rwała tatowe wnętrzości, żołądek i serce. Tato nie mógł mówić, ani jeść, ani oddychać. Umierał... Boże, to było straszne. Nie mieliśmy możliwości pomóc mu, nie było ratunku. Gdy przestawała na chwilę tato mówił do mamy:

– Masz dbać o dzieci, odnajdziesz wszystkie nasze dzieci, wrócisz do domu i wykształcisz je. Moje dzieci muszą być kimś. Nie zmarnuj ich. Zwłaszcza dziewczynkom daj staranne wychowanie, rosną jak dziczki.

Do Kotłasa nie wyruszyliśmy, a zapas chleba się kończył.

Pewnego wczesnego ranka zbudziły nas głośnie dźwięki dętej orkiestry. Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom. Czyżbyśmy wszyscy śnili? Od wywiezienia nas z domu nie słyszeliśmy takiej muzyki. Była radosna i jakby pełna nadziei, jakby to była defilada w Beresteczku, czy Dubnie. Podbiegliśmy do okien, a że niewiele było widać, wybiegliśmy aż na główny trakt. Tu zobaczyliśmy maszerujących, szczęśliwych Estończyków. Żołnierze uśmiechali się do nas, machali rękoma, a orkiestra grała porywającego marsza. Piękna melodia chwyciła za serca, wyciskała łzy. Oni szli, szczęśliwi, dziarscy jakby im skrzydła u ramion wyrosły. Marsz porwał wszystkich Polaków. Machali czapkami, pozdrawiali ich. Rosjanie stali źli i któryś powiedział:

– Zdrajcy, grają *bielogwardijski* marsz.

Tato podszedł bliżej szeregów i pytał co się dzieje, czy to koniec wojny? Oni przeczyli. Nie! to właśnie oni idą na wojnę... Tato długo patrzył za nimi, aż zniknęły za lasem, a wraz z nimi umilkł ich radosny, porywający marsz. Tato westchnął:

– Oddałbym życie, żeby móc iść jak oni.

Trzymano ich tutaj w nieludzkich warunkach. Daleko pod lasem otoczony kolczastym drutem był ich jeniecki obóz... Mieli koce, miękkie, ciepłe estońskie koce, które nie zdołały ogrzać ich w brezentowych pałatkach w siarczystym mrozie...

– Biedni wołą zginąć na froncie niż tutaj od mrozu, głodu i chorób – powiedziała mama.

– Chłopcy cieszyli się jakby szli na bal, nie na śmierć – dodał tato – A nasz oficer nie doczekał.

Przez chwilę staliśmy jeszcze, w uszach dźwięczała melodia, a w oczach były ich radośnie roześmiane twarze. Chyba widok szczęśliwych Estończyków uzdrowił tatę, bo powiedział:

– Jutro wyruszamy i my.

Skoro świt zbudziła nas mama, przeżegnaliśmy się, dostaliśmy po pół kromki chleba i poszliśmy, ciągnąc po rozmarzlinach ręczny, lecz za ciężki dla nas wózek. Kto z nas był bardzo zmęczony siadał na wózek, a pozostali ciągnęli. Tak jak jesienią nikt nas na noclegi nie przyjmował. Napotykaliśmy nędzarzy takich jak my, chorych wymizerowanych, ledwo powłóczących nogami. Droga z Czerewkowa do Kotłasa też była męką. Nie mieliśmy pieniędzy,

nie było co jeść, nie było gdzie wysuszyć przemoczonych onucy i łapci.

Noclegów używały nam opuszczone szopy, chaty z wyrwanymi oknami i zdewastowane cerkwie. Wchodziliśmy do martwych świątyń. Z odrapanych, zniszczonych ścian spoglądały pustymi oczodołami ikony bez nosów i rąk. Kładąc się spać na kamiennej posadzce, tato powiedział:

– Obeszli się ze swoimi świętościami gorzej niż dawni Wandale.

Głodni, chorzy wlekliśmy się dalej. Marysia przeziębiła się i zachorowała na malarię. Nie mogła iść, trzeba było wieźć ją na wózku.

Padał deszcz ze śniegiem, a mroźny wiatr przenikał nas do szpiku kości. Jeżeli nie pomagały prośby, na siłę wchodziliśmy do ciepłych chat, żeby wysuszyć ubrania i ogrzać się. Marysia traciła świadomość. Mama prosiła tatę, żeby zostawił ją z chorym dzieckiem w jakiejś chacie, a ze mną i Emilem szedł do Kotłasa. Tato złościł się i mówił:

– Umrzecie z głodu, przecież nie mamy pieniędzy, żeby się podzielić.

Były chwile, kiedy wydawało się nam, że nie zrobimy dalej kroku. Jak staliśmy, siadaliśmy, nie zwracając uwagi czy to błoto czy śnieg. Siedzieliśmy tak kiedyś otepiali, u kresu sił, gdy usłyszeliśmy warkot traktora. Tato zerwał czapkę i machał nią przed traktorem. Traktorzysta stanął, wychylił się z budki i spytał: *Cziwooo?..* Nie był sam. Obok siedziała kobieta. Mama podeszła i prosiła, by podwieźli ją z chorą dziewczynką, ale oni słuchać o tym nie chcieli. Mama się nie zmieści – twierdzili. Wtedy tato zdecydował, że Marysia pojedzie z nimi sama. Zapytał

ile chcą. Oni wymienili akurat taką sumę, jaką tato miał. Tato chciał dać im część a resztę zapłaci w Kotłasiu, gdy się spotkamy, ale kobieta trajkotała, że albo teraz całą sumę, *albu pust diewczonka pogibaet*, im wszystko jedno.

Oddał tato wszystkie pieniądze i pojechała jego ukochana, chora córeczka z obcymi ludźmi. Co chwila i tato i mama wycierali zalane śniegiem i... łzami twarze. W milczeniu szliśmy jeszcze ze dwa dni.

Było ciemno, gdy weszliśmy do Kotłasa. Zapytany przechodzień, po polsku wyjaśnił nam jak mamy dostać się do punktu, gdzie zbierają się Polacy. Poznaliśmy tę samą szkołę, do której przywieziono nas dwa lata temu. Widocznie jej przeznaczeniem było mieścić w swych murach Polaków-rozbitków. Tato i mama myśleli o Marysi. W szkole było tłumnie, gwarno, wisiało ciężkie powietrze i paliły się jasne żarówki. Tato szepnął coś Emilowi i ten zniknął w zakamarkach. Wszystkie prycze były zajęte. Chodziliśmy z klasy do klasy i nigdzie nie było wolnego miejsca. Byłam tak zmęczona, że nie wiedziałam czy chodzę, czy śnię i co się ze mną dzieje. Byłam brudna, przemoknięta i aż skurczona z głodu. Z tyłu za nami usłyszeliśmy nasze nazwisko:

– Panie Tais – stanęliśmy i jak na sprężynach odwróciliśmy głowy. Zbliżał się do nas młody wojskowy, a z nim odmieniona, czysta, przebrana Marysia i Emil.

– Boże, jesteś, jesteś – wołali rodzice – córeczko, jesteś, nic ci nie zrobili? – pytała mama, obejmowała ją i całowała.

Okazało się, że para traktorzystów

za otrzymane pieniądze odwiozła ją do Kotłasa. Ktoś pokazał drogę i tak oto znalazła się mała, chora istotka wśród tłumu Polaków przybyłych ze wszystkich krańców olbrzymiego kraju. Usiadła pod żarówką i myślała, że już umiera, gdy zainteresował się nią żołnierz. Ten żołnierz uklonił się przed tatą (nie zasalutował) i powiedział:

– Jestem ksiądz kapelan Ryszard

Grabski i od dwóch dni opiekując się pańską córeczką, dostała już chininę i jedzenie, będzie zdrowa, Marysiu, wskaż rodzicom swoją pryczę, a potem idź z mamusią do siostry Mossakowskiej po żywność i odzież.

Pomyślałam sobie, patrząc na czyściusięnką Marysię: „Nareszcie będzie nam dobrze”.

*Na tym kończymy przedruk książki pani Felicji Konarskiej.*